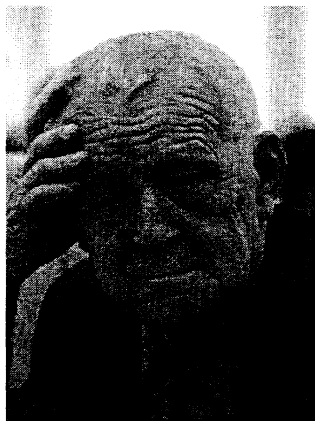




Wiesław
WŁADYKA

Mieczysław F. Rakowski
(1926–2008)

Mieczysław F. Rakowski redaktorem naczelnym „Polityki” został w 1958 roku, w wieku 32 lat. Zastąpił Stefana Żółkiewskiego, którego był zastępcą od początku pisma, czyli od lutego 1956 roku. Wcześniej zwany przez współpracowników i kolegów dziennikarzy „Frakiem”, był oficerem politycznym, potem aparatchykiem partyjnym, i to w latach najgorszych z możliwych, czyli pięćdziesiątych — gdy cały system polityczny poddany został rytowi stalinowskiemu, a jego działacze w Polsce wychowywani i kształtowani byli według reguł doktryny socrealistycznej, w walce z gomułkow-szczyzną i na froncie „zaostarzającej się walki klasowej”.

Jak to się stało, że ten syn chłopski, tak mocno wszczepiony w system tamtej władzy, tak silnie się z nim utożsamiający, potrafił przemienić się w jednego z największych redaktorów czasów PRL-u, ba, jednego z największych redaktorów w historii polskiej prasy? Skąd wziął mądrość i wiedzę, by z pisemka założonego przez KC PZPR w celu przytłumienia i ograniczenia rewolucji Października'56 uczynić jeden z największych cudów i fenomenów polskiego czasopiśmiennictwa? To są zagadki, które na zawsze pozostaną nie do końca wyjaśnione, ale na pewno nakazujące poważnie wmyśleć się w biografię i osobowość MFR i oddać Mu historyczną sprawiedliwość. Na pewno potrafił przekraczać samego siebie, wychodzić poza granice, normy i zwyczaje, które są powszechne, obowiązujące i które często trzymają umysły w żelaznych obcęgach.

Właśnie, chodzi o sprawiedliwość historyczną, bo „Politykę” i wkład Rakowskiego w jej historię widzieć trzeba na tle i w kontekście epoki, a nawet kilku epok dwóch kolejnych dekad politycznych, personifikowanych przez Gomułkę i Gierka, a na koniec sygnowaną latami 1980–81 (kiedy powoli kończył swoje redagowanie, a na dobre zaczynał politykowanie).

Mieczysław F. Rakowski, gdy już przestał być aparaczką, zaczął pisać dziennik, w którym notował, sam dla siebie, swoje przemyślenia, zdawał relacje z wydarzeń bieżących, dawał świadectwo różnorodnym wątpliwościom, żalił się na los i na kolegów, decydentów politycznych. Jakoś mu to było potrzebne psychicznie, a dzięki tym zapisom, udostępnionym publiczności już w Trzeciej RP, otrzymaliśmy jedno z najbardziej interesujących i wartościowych źródeł historii minionej, także przekazy pokazujące dylematy i rozdroża polskiej żurnalistyki, bardzo pouczające i dość uniwersalne, nawet jeśli dzisiaj jej problemy są inne. Zapisywał i bał się swojej szczerości. Gdy w 1968 roku nad Nim i nad „Polityką” gromadziły się ciemne chmury dziennik swój zakopał gdzieś w ogrodzie, by nie wpadł w ręce bezpieczeniaków i nie posłużył do aranżacji kolejnego seansu nienawiści.

Przyjął nominację po Stefanie Żółkiewskim (zwanym „Hetmanem” bądź „Grubym”) z dużą satysfakcją, faktycznie na co dzień przecież kierował „Polityką”. Uczył się nowego zawodu, a też miał czas, by wiele spraw przemyśleć. Notował:

Żółkiewski opuszcza „Politykę”, ale nadal będzie redaktorem naczelnym, tyle że „Nowej Kultury”. Chyba jest to rozsądne. Zainteresowania Grubego, czołowego marksistowskiego krytyka literackiego, bardziej pasują do pisma kulturalnego aniżeli politycznego, a takim ma być „Polityka”. Nie miałem z nim trudnego życia, bo to wspinały członkowie, ale w kierowaniu redakcją nie jest zbyt aktywny. To zrozumiałe, bo przecież ma na głowie wcale niełatwe ministerstwo (szkół wyższych), a oprócz tego sporo publikuje. Faktycznie całą robotę redakcyjną ja odwalam. Z jednej strony mi to pochlebia, z drugiej nie, ponieważ nie odpowiada mi robota murzyna.

Od razu pokazał, że rozumie kilka spraw wydawałoby się oczywistych, choć nie dla wszystkich, którzy bawili się w tamtych czasach w kierowanie gazetami. Po pierwsze, że prasę powinni redagować redaktorzy, a pisać w niej dziennikarze. Po drugie, że ważni są czytelnicy, że bez nich gazety nie mają większego sensu (może polityczny jakiś by się znalazł, zwłaszcza w systemie kontrolowanym na każdym polu przez politykę) — na dłuższą metę to odbiorcy (czuł to i wiedział) decydują o powodzeniu każdej inicjatywy wydawniczej.

W tym miejscu nie będę oczywiście opisywał dziejów „Polityki” pod szefostwem „Fraka”, można wskazać na kilka opracowań, które podsumowałem i rozwinąłem o własne przemyślenia i informacje w książce „*Polityka i jej ludzie*”, wydanej w 2007 roku, na pięćdziesięciolecie tygodnika.

W każdym razie MFR już po kilku latach uczynił z „Polityki” poważny bardzo tygodnik, a po kilku następnych — najważniejsze pismo opinii nie tylko w Polsce, a chyba nawet w całym bloku państw socjalistycznych „między Łabą i Władywostokiem” (jak mówiono). Inni porównywali „Politykę” do niemieckiego pisma „Der Spiegel”. Wnet też zdobyła masowego i wdzięcznego czytelnika. Do dzisiaj na spotkaniach redakcji w różnych klubach i przy okazji promocji, także w nadsyłanych listach, spotkać się można z opinią, że „Polityka” odgrywała dla jej odbiorców rolę nauczyciela, przewodnika i mądrego doradcy. I to dla kilku kolejnych pokoleń. W domu „Politykę” zawsze się czytało, zaczynał dziadek, potem tata, a teraz ja! — usłyszałem ostatnio od 20-letniej studentki.

Dość powiedzieć, że za Rakowskiego „Polityka” zaczynała od kilkunastu tysięcy egzemplarzy sprzedawanych jednorazowo, by etapami i skokami osiągnąć po dwudzie-

stu kilku latach Jego redagowania wielkość grubo ponad 400 tysięcy egzemplarzy, o którym to wyniku mogą tylko marzyć dzisiejsze tygodniki opinii — te liczące się („Polityka”, „Newsweek”, „Wprost”, „Przegląd”, „Tygodnik Powszechny” i „Przekrój”) uzbierają wspólnie może jakieś 500 tysięcy. Naturalnie, inne czasy, inne reguły komunikacji społecznej, inne otoczenie medialne i tak dalej, ale i tak rekordy MFR mogą zatkać dech w piersiach ze zdziwienia i często z zazdrości.

Przyczyn tego sukcesu było kilka. A więc, podwładni bardzo starannie dobierani, wedle kilku reguł.

Po pierwsze — zdolności i talenty. Tu Rakowski miał niezwykle szczęśliwą rękę i silną intuicję, nie ważne skąd przychodzisz, abyś lojalnie i wydajnie pracował. Brał ludzi z różnych miejsc — często z innych tytułów, które akurat Gomułka rozpędzał i dyscyplinował (duży nabór pochodził na przykład ze „Sztandaru Młodych”, choćby Marian Turski, Dariusz Fikus, Andrzej Krzysztof Wróblewski i przede wszystkim Ryszard Kapuściński), z nauki, a też z ulicy. Wystarczyło pokazać tekst i siebie samego. Jedną z kwalifikacji było to, czy ktoś „się nadaje, czy się nie nadaje”, która nijak nie była skodyfikowana, ale była wyczuwana i działała bezbłędnie.

Z tych ludzi potrafił, co najważniejsze, uformować zżyty zespół, zwany czasami „bandą Rakowskiego”, który w swojej strukturze trzymał się razem i wokół swojego Naczelnego aż do 1980 roku. Pokazał to kilka razy, a najbardziej spektakularnie w Marcu ’68, gdy pismo chciano rozpędzić lub po usunięciu szefa poddać nowemu kursowi politycznemu. Solidarnie wszyscy prawie członkowie tego zespołu przeciwstawili się, gotowi zakończyć swoją historię „Polityki”.

W „Polityce” pracowali najwybitniejsi dziennikarze tamtych czasów (ta lista jest bardzo długa) — dzisiaj ich nazwiska i dorobek odnotowane są przez każdą polską encyklopedię, tworzą kanon polskiej żurnalistyki. Także każdy dziennikarz, który myślał o sobie na serio, chciał pracować w „Polityce” — to była nobilitacja zawodowa, szczyt kariery.

„Polityka” stała się jednym z najlepszych salonów swoich czasów, tam wypadało bywać, do redakcji przyjeżdżali znakomici goście zza granicy, a z miasta najpiękniejsze dziewczyny. Sam Rakowski wyróżniał się swoją elegancją i fryzurami (Leopold Tyrmand napisał na emigracji znany pamflet o tym, jak MFR zmienia fryzury w zależności od koniunktury politycznej), formą fizyczną (codziennie bywał na basenie), stylem życia i swoim małżeństwem ze znakomitą skrzypaczką Wandą Wiłkomirską, później ze znaną aktorką Elżbietą Kępińską.

Po drugie — koncepcja. Rakowski uważał się za, można powiedzieć, realnego socjalistę. W socjalizm wierzył głęboko i bardzo długo, identyfikował się z Polską Ludową. Był przekonany, że idee socjalistyczne trzeba realizować w zgodzie z realiami, nie tylko tymi obiektywnymi (gospodarczymi i cywilizacyjnymi), ale także politycznymi. „Realia, panowie, realia” mówił na kolegiach, gdy rozparzeni koledzy wychodzili, w Jego ocenie, poza granice i warunki określone doktryną władzy i uzależnieniami geopolitycznymi. Ale te limity i niemożności nie oznaczały, że nic nie można robić, że nie da się Polaków wprowadzić do nowoczesności, że w tym świecie nie działają racjonalne miary i wagi.

„Polityka” więc mierzyła i ważyła, upominała się o edukację i o inżynierów, walczyła o inteligencję tzw. prowincjonalną, kazała się uczyć języków obcych, w ogóle się uczyć — choćby „od diabła” (jedna z kampanii tygodnika). Pokazywała świat,

snobowała się na kulturę wysoką, popierała młodych. Przestrzegała, że zanim podzieli się bochenek chleba, najpierw należy wszystko zrobić, by był on jak największy. To był taki swoisty pozytywizm. Ten sposób i styl mówienia wyróżniał „Politykę” na tle wszystkich innych tygodników, które nadal hołdowały tradycyjnej kulturze „gawędy szlacheckiej”, pochodził z innego świata i do innego świata przynależał.

Nic dziwnego, że już po kilku latach, gdy „Polityka” zaczynała świecić jasnym światłem, jej Redaktor zaczął być atakowany przez aparat partyjny i posłuszne mu pisma za menadżeryzm, kosmopolityzm, rewizjonizm, a były to wówczas epitety ciężkie (paradoks historii polegał na tym, że „Polityka” zastąpiła niejako rozwiązane w 1957 roku „Po prostu”, z którym zajadłe walczyła). Te ataki nasilały się, gdy MFR nie chciał wziąć udziału w rozróbie antysemickiej. Jego dzienniki zawierają bardzo dramatyczne opisy tej próby sił wewnątrz tegoż aparatu, do którego w końcu Rakowski przecież jak najbardziej należał, najpierw jako zastępca członka KC PZPR, a później członek KC.

Pokazują one także, jak faktycznie wysoko był umiejscowiony w hierarchii władzy, o wiele wyżej, niżby wskazywała Jego pozycja redaktora naczelnego jednego z pism frontu ideologiczno-propagandowego partii. Miał stały dostęp do najwyższych notabli, z I sekretarzem na czele, tak do Wiesława Gomułki, jak i do Edwarda Gierka, bez przerwy kręcił się po dworze władzy. Brał udział w wielu zakulisowych i poufnych działaniach wielkiej polityki, jak na przykład w realizacji polskiej polityki wobec RFN w latach 60. Zresztą w tematyce niemieckiej specjalizował się także naukowo i czuł do niej powołanie. Tak jak i Jego pismo uważał, że nie wolno trzymać się tylko wschodniej strony Łaby. Dużo podróżował, uczył się języków, nawiązywał kontakty po całym świecie.

To umiejscowienie w strukturze władzy Redaktora, formalne i przede wszystkim nieformalne, było nadzwyczaj ważne dla pisma. Nie tylko było ono dobrze poinformowane, wiedziało „o co chodzi”, miało swoje uprzywilejowane kontakty, ale także dawało mu szansę na udział w toczącej się bez przerwy grze we władzy i o władzę, w której szukało osób i środowisk myślących podobnie jak w redakcji. I tak na przykład zaczęło w samej końcówce lat 60. szukać jakiegoś porozumienia z Edwardem Gierkiem, w którym dostrzeżono naturalnego następcę Władysława Gomułki, a przede wszystkim polityka nowoczesnego. MFR był niejako ministrem spraw zagranicznych swojego pisma, był od polityki zewnętrznej, załatwiał na mięście — jak mówiono — dobre i pewne papiery, chronił przed kłopotami i niebezpieczeństwami.

Koledzy w trudzie, co tydzień, przygotowywali kolejne numery, a Naczelny chodził po gabinetach, obradował i rozmawiał, dzięki temu nadawał kierunek i znajdował luki oraz szanse na powiedzenie czegoś nowatorskiego i świeżego. A też świecił oczami za swoich podwładnych i za niektóre teksty w swoim piśmie, tłumaczył i kluczył, wywijął kota ogonem. Również na siebie brał wszystkie polityczne haracze, które pismo musiało bez przerwy spłacać. Pisał zatem politruckie wstępniaki i partyjne sprawozdania, ideologiczne uzasadnienia, które stanowiły wymaganą i oczekiwaną przez górę zastonę — za nią można było schować te teksty i myśli, na które naprawdę czekali czytelnicy i którymi często się zachwycali.

Potrafił napisać też coś bardzo ważnego. Dwa przynajmniej Jego teksty weszły do antologii czasopiśmiennictwa PRL-owskiego. „Dobry fachowiec, ale bezpartyjny”

z 1971 roku oraz „Szanować partnera” ze stycznia 1981 roku, po którym zresztą wszedł w skład rządu i rozpoczął prawdziwą karierę polityczną. Wyłamywał się nimi ze sztammy ideologicznej, przełamywał obowiązujące dogmaty i praktyki polityczne, unosił ponad doraźne gry taktyczne.

Jednak *Dzienniki polityczne* Rakowskiego są między innymi zapisem tego nieustannego lawirowania taktycznego Naczelnego i doniesieniami z frontu walk wewnętrzpartyjnych. Ten front trwał bez przerwy aż do 1989 roku, w różnych figurach oraz mutacjach i wariacjach ideologicznych, które początek brały od 1956 roku, a nawet z czasów wcześniejszych. Podział na twardych i miękkich, na dogmatyków i rewizjonistów, na Natolińczyków i Puławian był podziałem stałym. Niejako z urzędu MFR należał do frakcji liberalnej i — jak wiemy z Jego notatek — nie było łatwo, a czasami bardzo trudno, utrzymać się na powierzchni i nie wylecieć z gry ostatecznie. Rzecz w tym, że owo tak zwane rewizjonistyczne myślenie i poszukiwanie w tamtych czasach dawało ludziom rzeczywistą i wymierną korzyść, a „Polityce” szansę na prowadzenie jakiejś poważnej rozmowy z czytelnikami. Jak to nazywano w redakcji, na tym właśnie polegała mądrość etapu — więcej uzyskać się wtedy nie dawało.

Na dwudziestolecie pisma zespół przygotował specjalne wydanie „Polityki”, przeznaczony do obiegu wewnętrznego, nie dla czytelników. Daniel Passent napisał w nim między innymi:

Jako bardziej politycy niż dziennikarze widzimy, że redagowanie pisma musi odbywać się kosztem cnoty. Rzecz polega na tym, jak grzeszyć, ile i kiedy. Czyli widzieć swój grzech w kontekście historii. Każdy numer pisma jest grzechem wobec czytelników i przełożonych, wobec prawdy obiektywnej i klasowej, wobec sumienia własnego i zbiorowego, wobec siebie i współpracowników.

W tym spec-numerze zamieścili także „Myśli przewodniczącego”, czyli ulubione odzywki swojego naczelnego:

Wy ciągle rozprawiacie, jakby tu była Islandia; bardzo lubię takich pieprzonych intelektualistów; trzeba myśleć politycznie; cały świat, a także nasz zespół to jest jedna wielka menażeria; moim osobistym zdaniem socjalizm jest lepszym ustrojem od kapitalizmu; jeden z drugim coś chlapnie, a ja później muszę za was oczami świecić; czego się śmiejesz, baranie?

Krytycy „Polityki” mówili, że „Polityka” odgrywa rolę wentyla bezpieczeństwa dla systemu, że dlatego też jej więcej pozwalano, że tak naprawdę jest pieśczochem władzy. Tak jak gdyby reżim wyczuwał, że należy dać najbardziej twórczym i niespokojnym z natury rzeczy środowiskom i grupom społecznym szansę zmieszczenia się w systemie politycznym, znalezienia w nim dla siebie miejsca.

Tyle tylko, że „Polityka” cieszyła się autentycznym uznaniem swoich czytelników, że często miała najwięcej ingerencji cenzuralnych w całej prasie polskiej, że wpadała bez przerwy w wielkie tarapaty, że ściągała na siebie wielkie burze i oskarżenia. Lista tak zwanych afer w historii pisma jest obszerna, a niektóre stały się znakami epoki, jak choćby w 1963 roku afery wokół książki Zbigniewa Żałuskiego *Siedem polskich grzechów głównych*, oczywiście — wielka afery marcowa, a potem ta wokół reportażu Małgorzaty Szejnert z 1973 roku o dziejach polskiej arystokracji w PRL.

Michał Radgowski, gdy w 1981 roku wydawał swoją „Politykę” i jej czasy, pisał, że pismo i jego naczelny siedzieli na barykadzie — z jednej strony władza, z drugiej czytelnicy, czyli społeczeństwo, a sztuka polegała na tym, aby mieć kontakt z obydwo- ma stronami tej barykady. Nie ulega wątpliwości, że MFR był tu wielkim sztukmi- strzem. Aż barykada stała się tak szeroka, że nie sposób było na niej usiedzieć, co stało się jasne w 1981 roku.

MFR w tym roku znalazł się w sytuacji przedziwnej — był nadal Naczelnym „Polityki”, ale jednocześnie wyładował na szczytach władzy, co doprowadziło redakcję do „polaryzacji afektowanej”, że użyję terminu wprowadzonego przez profesora Janu- sza Reykowskiego. Tak jak w całej Polsce, także w tygodniku ludzie podzielili się wedle poglądów, co — jak wiadomo — doprowadziło do wyjścia z zespołu kilkunastu kole- gów, po wprowadzeniu stanu wojennego. MFR starczyło wpływów, by uchronić redak- cję przed brutalną weryfikacją, ale nie starczyło przyjaźni, by utrzymać starą zażyłość. „Polityka” reaktywowała się jeszcze pod Jego batutą, ale rychło on sam z pisma od- szedł, przekazując szefostwo Janowi Bijakowi. Do redakcji już nie zaglądał, jeśli wpływał na linię pisma, to wyłącznie poprzez prywatne kontakty ze starszymi współ- pracownikami, oczywiście wykorzystywał swoją pozycję, by „Polityce” pomagać i ją chronić.

A była atakowana, może nawet jeszcze bardziej wściekle niż wcześniej, jako że jej ewentualne osłabienie tak czy inaczej osłabiałoby Rakowskiego jako polityka. Słynna była między innymi, ewidentnie inspirowana z Warszawy, napaść na „Politykę” w 1983 roku pisma „Nowoje Wremia” (na tę napaść odpowiedział polemiką sam Rakowski), a później, w 1988 roku rozróżba na posiedzeniu Biura Politycznego wokół tekstu „Po- lityki” o Marcu’68, którego nota bene byłem współautorem. MFR dokładnie relacjonuje te awantury w swoim *Dzienniku politycznym*.

Niemniej widać przy ich lekturze, że emocje i myśli Rakowskiego krążą już w innej stratosferze — „Polityka” nadal bliska Jego sercu należy jednak już do prze- szłości, zwłaszcza że w redakcji pracuje coraz więcej ludzi, którzy nigdy Go nie poznali. Przyszły redaktor naczelny Jerzy Baczyński poznał osobiście Rakowskiego dopiero w latach 90. W Trzeciej RP także MFR dozował swoją obecność na uroczy- stościach redakcyjnych, okazjonalnych i jubileuszowych, bardzo oszczędnie, tak jak gdyby nie chciał w żadnej formie zobowiązywać swoich młodszych kolegów do jakiej- kolwiek wdzięczności i wysłuchiwania porad. Był nadzwyczaj tu elegancki i wstrze- mięzliwy. To tylko ci, którzy pamiętali stare czasy, powoływali się jeszcze na święte zasady redakcji spod znaku MFR typu: „by tekst był wydrukowany musi być najpierw napisany, dobry tekst ma pierwszeństwo przed gorszym, nie chomikować tekstów świetnych, one powinny szybką ścieżką dotrzeć do czytelnika” itd.

Ta podróż Fraka od redagowania do politykowania zaczęła się na dobre w latach 70., a może nawet wcześniej, bo już w swoje czterdzieste urodziny zapisał, że chyba ma dość dziennikarstwa. Gdy stawał się pięćdziesięciolatkiem, coraz częściej pisał w tymże *Dzienniku* o czystej polityce, a coraz mniej o „Polityce”. Też Jego kontakty i przyjaźnie stawały się coraz bardziej polityczne, jeśli w ogóle w polityce może istnieć coś takiego jak przyjaźń. Nagle pojawiają się relacje z rozmów z Kazikiem, Stefanem, Edkiem małym i dużym — a za tymi imionami kryły się potężne postaci partyjnej polityki, a coraz rzadziej z tego co się dzieje w redakcji. Wyraźnie w Rakowskim

zaczęła brać górę ta część osobowości, która pchała Go do praktyki politycznej i odsuwała od pisania o polityce.

To nie była tylko kwestia oczywistych ambicji, także chyba zmęczenie dotychczasowym życiem i pracą, spełnienia zawodowego, jak też nasilającego się rozczarowania co do sensu uprawiania tego zawodu. 4 kwietnia 1974 roku zanotował:

Nie można np. wyobrazić sobie dziennikarza piszącego krytycznie o kimś z kierownictwa partii lub o jakiejś decyzji tego kierownictwa. Nie można pisać — oczywiście negatywnie — o polityce radzieckiej, a choćby innego kraju socjalistycznego. Co się dotyczy problematyki krajowej, to jako taka wolność istnieje tylko wówczas, gdy jedna ekipa jest wyrzucana, a kolejna przychodzi. Wtedy można sobie pozwolić na kilka słów prawdy, choć i to jest ryzykiem, ponieważ obejmująca władzę ekipa, jeśli nawet na to pozwala, to po pewnym czasie dochodzi do wniosku, że uległa chwilowej słabości. W praktyce więc, jeśli zabieram się do pisania — obojętnie o czym — to muszę poustawić sobie sam, z własnej woli, wiele różnych barier etc. Gdy zaczynam pisać, to już z góry wiem, czego mi nie wolno. Muszę sam ograniczać zakres tematu, kłaśliwość, krytycyzm. Tak rodzą się różne potworki bądź płody upstrzone sloganami.

Kiedy indziej przyznawał, że już nie wytrzyma kolejnego zakrętu politycznego, znowu będzie musiał tłumaczyć i uzasadniać.

Ta frustracja zawodowa nasiliła się w drugiej połowie lat 70., gdy w Polsce powstała kultura kontrsystemowa, a w drugim obiegu można było mówić to, czego nie wolno było na powierzchni. „Polityka”, jak i cała prasa legalna, znalazła się w sytuacji schizofrenicznej. Rakowski w jakimś sensie uciekł od niej w 1981 roku, wybierając właśnie politykę przez małe p, wedle zasady: jak już, to na cały gaz:

... będę mógł bezpośrednio wpływać na decyzje rządu, skuteczniej aniżeli redaktor nawet tak wpływowego pisma jak „Polityka”.

A swoją drogę już czysto polityczną podsumował — choć zostało Mu jeszcze trochę do zrobienia — na smutno 11 grudnia 1988 roku:

Coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że system, który powstał w Polsce po II wojnie światowej, przegrał w skali historycznej. Trzeba go zastąpić innym, po prostu wydajnym.

Gdy „Polityka” obchodziła swoje 50-lecie, w panelu dyskusyjnym stwierdził, że Jego największym dorobkiem jest jednak stworzenie „Polityki”, taką jaką się stała i jaką zapamiętali we wdzięcznej pamięci czytelnicy. I z tym można się zgodzić.